

Zawsze chciałem być artystą, ale mogę o nich tylko pisać: Przemysław Matecki



Przemysław Matecki, fot. Szymon Rogiński

Tunel / Przemysław Matecki

Jest taki zabawny mechanizm w głowie, że gdy już odkryje się znaczenie jakiejś osoby czy sytuacji, to wtedy wszystko, nawet w przeszłości składa się w całość, prowadzi do jedyne go możliwego wniosku i staje się nieprzypadkowe. Psychologia Gestalt czy tam jakoś. Człowiek się później dziwi, że już od początku rozbita szklanka, urwany fragment rozmowy, rozłączony telefon kierowały do ostatecznego rozwiązania, które przecież nie

mogło być inne. Znają to doskonale kochankowie, znają ludzie zabobonni, a mi się to przypomniało, gdy próbowałem odtworzyć spotkanie z Przemysławem Mateckim. Pierwszy raz spotkaliśmy się na wernisażu jego wystawy w Rastrze, gdzie również pierwszy raz w życiu chciałem kupić obraz uznanego polskiego artysty. A że byłem w nastroju lekkim, podszedłem do autora i jak każdy przyzwoity mieszcuch, postanowiłem zadbać o swoje. Spytałem, czy długo jeszcze zamierza żyć, ponieważ chciałbym aby mój obraz nabierał wartości i czy dużo maluje, bo jeśli tak, to szkoda. Matecki odpowiedział, że maluje bardzo dużo, cały czas i każda chwila z alkoholem i papierosem w ręku – tu wskazał na swój wernisażowy kieliszek – jest chwilą straconą. W jego kpiarskiej frazie słychać było śmiech ze mnie, telewizyjnych bredni i co dziwne, prawdę. Tę wyrafinowaną naiwność (naiwność, nawet wyrafinowana, zawsze pozostanie naiwnością – i chwala jej za to) uzupełniał wygląd chłopaka, który do galerii zabłądził z pobliskiej bramy; wyszedł po butki, papierosy, a że wołali, to został. I choć klimat był wesoły, to przezierająca powaga zdradzała już klimat następnej rozmowy. Tydzień później otworzył mi stalowe drzwi na Pradze, podał wodę i zaczęliśmy rozmawiać. Najpierw trafił się temat nieruchomości, bo jako właściciel sporego labiryntu w jednej z praskich kamienic, wcale nie starał się imponować terytorium. Potem przeszliśmy przez wygląd zewnętrzny tego artysty, to jest spodenki w trupie czaszki, różowe, ale raczej jak ze śmietnika; i koszulkę też bardzo podobną, polo w paski, jakie nosi cała Polska, przynajmniej na działce. Zahaczyliśmy też o Napalm Death, Sepulturę, DRI, GBH, zespoły których słuchałem, gdy jeszcze nie miałem w ogóle słuchu do muzyki i które teraz znowu słyszę z internetowego radia. Według Mateckiego taki Napalm Death jest zgrany i ma czystą energię. A tak czy inaczej temat pozostał jeden. Malowanie. Nie powiem, odrobinę mnie to nużyło, a podziw, który wzbudzał swą konsekwencją miał w sobie coś ze współczucia i obawy.? Czego musi nie być szkoda w życiu, o czym trzeba myśleć, żeby tak wszystko pchać w jakieś siedzenie z pędzlem? Jest wieczór, praskie podwórka wydają jakieś ostatnie dziecięce tchnienia; panującym wszędzie kolorem jest ciemniejszy żółty – trawa, bo uschła, biel bo się ściemnia, jasne drewno krzesel i tynk kamienic, wszędzie gasnący niepokojący żółty. W tym żółtym półmroku, łysy facet przy własnym stole nieustannie mówi, że chce iść dalej, jakby już sam stół go krępował. Ma różne taktyki wobec malowania, wcześniej napierdalał farbę w obraz, to były warstwy. Teraz ma inną taktykę, teraz po prostu stara się czekać, aż cięciwa się napnie i dopiero wtedy wali na dół do pracowni i tam kombinuje. Cały czas. Poświęcił temu wszystko – wiesz co to znaczy, też masz rodzinę. I bardzo go ciekawi ten swój ostatni obraz, jaki będzie. Malowanie traktuje zbyt poważnie. Ma obsesję czasu – dodaje i macha rękami. Jedna z nich oznacza początek, druga kroi w powietrzu koniec. Ręce i gesty są niewprawne, gdyby temat był inny, moglibyśmy się może wspólnie pośmiać. Ale Matecki mówi to wszystko bez ironicznie podniesionych kącików ust. Trafia na proste i świeże metafory (przez chwilę zastanawiałem się, czy tego tekstu o „swoim ostatnim obrazie” nie wzięt z jakiejś biografii Velazqueza, pytam o to, ale nie wie o co chodzi, więc raczej nie) i cały czas wraca do obrazów. Ostatnia wystawa ciekawa, ale odebrana jako wspólne malowanie, a wspólne malowanie to jak wspólne łapanie się za członki, więc nie o to chodziło. Katalog, który wydał z obrazami do wystawy w BWA w 2006 najciekawszy, tam są same krótkie i szybkie rzeczy, portret Condoleezy Rice siedzi. Odkąd dostał się do „art worldu” i kupił mieszkanie, wszystko jest cięższe i być może stąd to napierdalanie w płótno. Gdy dochodzimy do ostatnich szkiców – uśmiecha się, to go bawi, tam jest lekkość, tego szuka. Człowiek dowcipny, który odkrył skupienie i stracił naiwność. I nie wie, co z tym zrobić. Deklaruje, że jest nihilistą, nie wychodzi z domu, śnią mu się domy, w których są ogrody, drzewa i ławki, a to co poza domem jest pozbawione wartości. Mimo to nie chce, żebyśmy schodzili do pracowni. Te kilka obrazów póki co nieskończone i nie może ich pokazać. Podchodzi do okna, dolewa wody, robi kilka kroków bosymi stopami między kuchnią a

stołem, wraca. Pracownia podczas tego spotkania jest jak człowiek na katafalku, który leży w drugim pokoju, ale przecież wypełnia całe mieszkanie i wszystko co się mówi, jest o nim. I jeszcze coś, może najważniejsze, czego promieniowanie – podobnie jak pracowni – odczuwam w każdym ruchu i słowie podczas tej krótkiej rozmowy. Jakoś z początku mówił o ojcu, który umarł rok temu. U nich wszyscy mężczyźni umierają w takim a takim wieku, to jest jakby podpisany wyrok. I wtedy przypomina mi się pierwsze pytanie, które w śmiechu zadałem mu tydzień temu. Jak długo zamierza jeszcze żyć? Na koniec schodzimy po piwo, w sklepie rzuca, że wszystko jest bez znaczenia. Ja wsiadam do auta, on wraca do pustego mieszkania z włączonym filmem o katastrofie. Powiedziałby pewnie, że czeka aż się napnie cięciwa i zejdzie do pracowni. A potem obydwaj jedziemy na wakacje, bo jest lato.